

Rozdział 4: Wagon numer osiem

Julmargo: Prawda Trojga

Mateusz Palczewski – www.julmargo.com

Pociąg towarowy nie jedzie tak, jak pociągi, którymi jeździliśmy z mamą do cioci do Poznania. On nie sunie. On walczy z torami.

Każde złącze szyn to potężne uderzenie, które niosło się po stalowej podłodze wagonu i rezonowało w moich kościach.

Siedziałem na tylnym siedzeniu lśniącego, elektrycznego SUV-a, który prawdopodobnie kosztował więcej niż nasza cała kamienica na Nadodrze. Czułem się tu jak intruz. Skórzana tapicerka pachniała nowością i luksusem, co w zestawieniu z moimi przemoczonymi spodniami i brudnymi rękami wydawało się niemal obraźliwe.

Ale najgorszy był ciężar. Nie mój własny, chociaż ważyłem teraz chyba tonę, ale ciężar powietrza ... i położenia w którym się znaleźliśmy.

– Gogo, uspokój się, bo zaraz wyrwiesz te drzwi z zawiasami – rzucił Marmar, nie odrywając wzroku od czarnej kostki. Nie wiedziałem o czym mówi, do momentu aż odsunąłem się i zobaczyłem wygięte od środka drzwi.

Marcel siedział na przednim fotelu, odwrócony do mnie plecami. Deska rozdzielcza samochodu była martwa, ale dla niego chyba nie. Widziałem w lusterku, jak jego palce przesuwają się po czarnym tworzywie, a on sam mruży oczy, jakby czytał niewidzialny tekst. – Staram się – warknąłem, choć mój głos brzmiał bardziej jak skomlenie. – Po prostu... czuję się, jakby ktoś dopasował do mnie niewłaściwą grawitację. Wszystko jest za lekkie. Ten samochód, ten wagon, nawet wy. Mam wrażenie, że jak mocniej tupnę, to przelecę przez podłogę pociągu prosto na tłuczeń.

Julia spała na miejscu pasażera obok Marmara. Jej głowa zwisała bezwładnie, a twarz, zwykle tak pełna energii, teraz była blada i naznaczona cieniami. Ucieczka z dworca i to jej „nucenie” wycisnęło z niej resztki sił. Wyglądała tak krucho, że przez moment zapomniałem o własnym strachu. To ona nas stamtąd wyciągnęła. Moja starsza siostra, która jeszcze rano kłóciła się ze mną o to, że wypilem resztkę mleka, teraz była powodem, dla którego w ogóle jeszcze żyliśmy.

Zamknąłem oczy, próbując odciąć się od rytmicznego stuku kół. Chciałem wrócić do domu. Nie do tego płonącego, pełnego agentów w pancerzach, ale do tego zeszłorocznego.

Wspomnienie przyszło nagle, jak fala ciepłego wiatru od strony Odry. Marina Kleczków. To było jakby przed chwilą, choć w maju rok temu. Wrocław pachniał wtedy kwitnącymi kasztanowcami i rozgrzanym betonem, który wieczorem oddawał ciepło. Tata zabrał nas na spacer nad rzekę. Pamiętam, jak słońce kładło się nisko nad wodą, malując rzekę na pomarańczowo, a my siedzieliśmy na

drewnianych pomostach Mariny, jedząc lody, które kapały nam na koszulki.

Wtedy trwał festiwal „Jazz nad Odrą”. Z pobliskiej sceny dobiegały dźwięki trąbki i kontrabasu – taka muzyka, której zwykle nie słuchaliśmy, ale tam, nad wodą, brzmiała idealnie. Była chaotyczna, nieprzewidywalna i wolna. Dokładnie tak, jak my się wtedy czuliśmy.

– Chodź, Elena! – krzyknął tata, łapiąc mamę za rękę. Zaczął tańczyć na trawie, zupełnie nie przejmując się tym, że ludzie patrzą. Mama śmiała się tym swoim perlistym głosem, odrzucając głowę do tyłu, a jej sukienka wirowała w rytm rytmicznej melodii. Julka dołączyła do nich po chwili, kręcąc piruety z taką gracją, jakby grawitacja dla niej nie istniała. Marmar siedział obok mnie, próbując wyjaśnić mi matematyczną strukturę jazzu, ale nawet on w końcu zaczął tupać nogą do rytmu.

Pamiętam, że tata podszedł do mnie, podniósł mnie wysoko – byłem wtedy lżejszy, albo on był silniejszy – i powiedział: – Ignacy, pamiętaj ten rytm. Życie nie zawsze jest prostą piosenką. Czasami to jazz. Musisz nauczyć się improwizować, kiedy nuty przestają do siebie pasować.

Wtedy nie rozumiałem, o czym mówi. Myślałem, że to tylko takie „tatusiowe gadanie”. Teraz, w ciemnym wagonie pociągu towarowego, jego słowa uderzyły mnie z siłą młota. Nuty przestały do siebie pasować już dawno temu. Utknęliśmy w środku najbardziej przerażającego utworu, jaki można sobie wyobrazić.

– Gogo? Płaczesz? – Głos Marmara wyrwał mnie z Mariny Kleczków

z powrotem do metalowej puszkii.

- Nie. To tylko... kurz w tym luksusowym aucie - skłamałem, ocierając oczy wierzchem dłoni. Moja skóra znów wydała mi się dziwnie szorstka, niemal kamienna pod palcami. - Marmar, co ty właściwie robisz z tą kostką?

Brat westchnął i odwrócił się w moją stronę. W świetle księżyca wpadającego przez małe lufciki w górze wagonu, jego okulary błyszczały jak dwa małe ekrany. - Próbuję zrozumieć jej geometrię. To nie jest zwykłe urządzenie, Gogo. Tata nie bez powodu dał ją mnie. Ona reaguje na... na mój sposób patrzenia. Kiedy się na niej skupiam, widzę wewnątrz niej warstwy danych, które nie są zapisane na dysku, ale w samej strukturze tego metalu. To tak, jakby każda cząsteczka była bitem informacji.

- I co tam jest? - zapytałem, przysuwając się bliżej, choć samochód jęknął pod moim ciężarem.

- Współrzędne. Ale nie tylko. Jest tam też coś, co nazywa się „sekwencją inicjującą”. I nasze imiona, Gogo. Twoje, Julki i moje. Jesteśmy tam wpisani jako... komponenty.

Poczułem chłód, który nie miał nic wspólnego z temperaturą w wagonie. „Komponenty”. Jak części maszyny. Albo części eksperymentu. „Triada” - tak powiedział tata.

Nagle pociąg gwałtownie zwolnił. Pisk hamulców był tak przeraźliwy, że Julka natychmiast się obudziła, wyprostowując się na fotelu z głośnym wciągnięciem powietrza.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, jej głos wciąż wibrował tym dziwnym, metalicznym pogłosem.

- Zbliżamy się do granicy – szepnął Marmar, wyglądając przez okno wagonu. – Widzę ich. Nie tylko straż graniczną. Te same sygnatury cieplne, co we Wrocławiu. Eterna Corp nie odpuściła. Czekają na ten transport.

- Jak nas znaleźli? – Julka przetarła twarz dłońmi. – Przecież Marcel, miałeś nas wymazać z kamer!

- Wymazałem! – syknął brat. – Ale oni nie szukają obrazu. Szukają anomalii. Każde użycie waszych... zdolności zostawia ślad w otoczeniu. Gogo, kiedy uderzyłeś w ten peron, wysłałeś falę, którą pewnie odnotowały stacje w całym województwie. Julka, twoja bioakustyka zakłóciła lokalne pasma radiowe. Są jak myśliwi, którzy idą po złamanych gałęziach.

Pociąg zatrzymał się całkowicie. Cisza, która zapadła, była gorsza niż najgłośniejszy jazz. Słyszeliśmy tylko tykanie stygnącego silnika pociągu i dalekie szczekanie psów.

- Idą tutaj – powiedział Marmar. Widziałem, jak jego oczy skaczą z boku na bok, analizując ściany wagonu. – Trzech po lewej, czterech po prawej. Jeśli zostaniemy w samochodzie, znajdą nas w dziesięć sekund.

- To co robimy? – poczułem, jak moje serce zaczyna bić szybciej. Każde uderzenie było jak uderzenie w bęben. Czułem, jak moja skóra znów twardnieje, jakby wokół moich ramion i klatki piersiowej tworzył się osłona.

Julia spojrzała na mnie. W jej oczach nie było już zmęczenia. Była tam determinacja, ta sama, którą widziałem na Marinie Kleczków, kiedy uczyła mnie, jak nie bać się głębokiej wody. – Gogo,

pamiętasz, co mówił tata? Musimy improwizować.

- Nie umiem improwizować! - wyszeptałem. - Ja umiem tylko...
czuć się ciężki!

- To poczuj się tak ciężki, jakbyś był górą - powiedziała Julka,
kładąc rękę na klamce samochodu. - Marcel, znajdź nam wyjście,
którego nie widzą. A ja... ja sprawię, że będą chcieli być
gdziekolwiek indziej, tylko nie tutaj.

Wyszliśmy z samochodu. Stałem na stalowej podłodze wagonu i po
raz pierwszy poczułem, że to nie grawitacja jest problemem. To ja
byłem siłą. Skupiłem się na swoich stopach, na tym, jak dotykają
metal. Czułem każdą molekułę stali pod moimi butami. Powietrze
wokół mnie zaczęło gęstnieć, stając się lepkie, jakby zamieniało się
w przezroczystą żywicę.

Z zewnątrz dobiegł dźwięk uderzenia w drzwi wagonu. Potężny
magnes, używany do otwierania rygli, jęknął, a stalowe wrota
zaczęły się przesuwac z przerażającym zgrzytem.

- Teraz - szepnął Marmar. - Skaczcie w prawo, tam nie dosięgają
ich wizjery.

Ale ja nie skoczyłem. Stałem prosto, patrząc, jak szczelina w
drzwiach staje się coraz szersza, ukazując czarne sylwetki agentów
na tle nocnego nieba. Czułem, że jeśli teraz się ruszę, to nie po to,
by uciekać.

Byłem Ignacy. Byłem Gogo. I nie zamierzałem pozwolić, żeby
zepsuli nam ten utwór.

Gdy pierwszy snop latarki przeciął ciemność wagonu, nie poczułem
strachu. Czułem, jak moja skóra na kostkach staje się matowa i

szara. Poczułem, że jestem gotowy, by odbić wszystko, co w nas rzuca.

- Stać! - wrzasnął głos z zewnątrz.

Zamiast odpowiedzi, Julka nabrała powietrza w płuca. Wiedziałem, co nadchodzi. To nie był jazz. To była symfonia zniszczenia.

Julmargo: Prawda Trojga - Rozdział 4

Mateusz Palczewski - www.julmargo.com